

NAGRODA  
POLSKIEJ LITERATURY GROZY  
IM. STEFANA GRABIŃSKIEGO

RECENZJE

Artur Urbanowicz

*Gałęziste*

Novae Res, 2016

## Recenzja I

*Gałęziste* Artuta Urbanowicza to najbardziej klasyczna powieść grozy, jaka w tym roku została nominowana do nagrody. I to nawet wbrew opinii wydawcy, który na ostatniej stronie okładki informuje, że mamy do czynienia z „thrillerem paranormalnym”. Takie kwalifikowanie gatunkowe ma swoją zasadność, ale status zjawisk paranormalnych w *Gałęzistym* jest dyskusyjny – w tym dobrym znaczeniu. Wyjaśnienie wielu elementów możliwe jest zarówno z racjonalnej, jak i irracjonalnej perspektywy, co dodaje powieści klimatu.

Historia opowiedziana przez Urbanowicza była wałkowana w horrorach (zarówno literackich, jak i filmowych) od dawna: para nastolatków wyjeżdża na odpoczynek poza miastem. Trafiają do małej miejscowości, której nie ma na żadnej mapie. Okazuje się, że każdego roku w okolicy w niewyjaśnionych okolicznościach ginie grupa turystów. Za zniknięciami stoją sami mieszkańcy, będący – w tym wydaniu – grupą pogan czczących słowiańskiego demona, który domaga się krwawych ofiar.

*Gałęziste* jest powieścią w dwójnasób przegadaną. Po pierwsze: mamy tu wiele ogranych chwytów znanych z literatury tego gatunku. Odkąd Karolina i Tomek trafiają do Białodębów, autor na każdym kroku przypomina nam, że mamy do czynienia z horrorem. Cudze twarze widziane w lustrach i na tafli wody, poczucie bycia obserwowanym, uciekające cienie, poruszające się zwłoki, znikające i pojawiające się przedmioty, odczytywanie myśli, przerażające wizje, sny i przewidzenia – lista jest jeszcze dłuższa. Mamy też kilka zwrotów fabularnych, które w tej konwencji pojawiają się całkiem często: okazuje się, że część nadprzyrodzonych wydarzeń była wynikiem narkotycznego transu albo że służby mundurowe, do których zwracają się poszkodowani bohaterowie, są częścią spisku. Wszystkie te elementy, choć ograne i mało oryginalne, mogą jeszcze znaleźć się w dobrym horrorze, problem w tym, że niekoniecznie razem. Wygląda to tak, jakby autor przejrzał poradnik-katalog najpopularniejszych motywów grozy i postanowił stworzyć superpowieść łącząc je wszystkie.

Po drugie: przegadana jest narracja. Urbanowicz rozbudowuje swoje zdania do momentu, w którym są one absurdalnie nadmuchane. Używa

maksimum słów przekazujących minimum treści. Rozbudowuje frazy tak bardzo, że faktyczne konotacje części zdania toną w zalewie przymiotników i przysłówków. Na przykład: „Trudno to było nawet nazwać wioską – jak na te parę porozrzucanych w nieładzie domów na krzyż było to chyba za duże słowo” (s. 49) albo „Wędrowali przez klimatyczny, fosforyzujący wręcz zielony tunel” (s. 243). Czasem ta językowa nieporadność przeradza się w logiczne bądź stylistyczne błędy – „Nigdy cię nie opuścimy i nigdy nie pozwolimy, by twój kult kiedykolwiek zginął” (s. 459) czy „Aby odciąć się od otaczających go wrażeń zmysłowych tak szczelnie, jak tylko się da, przykrył się szczelnie kołdrą i nakrył głowę poduszką” (s. 154). W tym kontekście trochę śmieszne, przede wszystkim jednak wykraczające poza granice tak zwanej kultury literackiej jest zastrzeżenie poczynione przez autora we wstępie do powieści, jakoby wszelkie błędy były celowe i skrywały „ukryte znaczenia”. Tymczasem zdecydowana większość z dużej ilości błędów jest wynikiem językowych niedomagań i kiepskiej redakcji.

Poza błędami stylistycznymi, narracja pełna jest wulgaryzmów, powtórzeń („kamień w żołądku” pojawia się tu tak często, że wydaje się już nie metaforą, a medycznym terminem) oraz utartych fraz, które najpewniej miały sprawiać wrażenie dowcipności, ale przez swoją wtórność nie zadziałały w ten sposób, np.: „Czasem walił suchary takie, że aż wszystkie rośliny wokół opadały, bo wysychały na pieprz” (s. 38), „bo to, że coś odwalił, było prawie tak pewne jak śmierć i podatki” (s. 231). Największym jednak błędem narracji wydaje się być jej niekonsekwencja. Raz dostajemy informacje o wszechwiedzy narratora (wie, co zdarzy się w przyszłości i komentuje to), innym razem dziwi się on opisywanym wydarzeniom. Czasem narracja jest prowadzona z niezależnej perspektywy trzeciej osoby, czasem mocno zlewa się z myśleniem i postrzeganiem to jednego, to drugiego bohatera. W tych momentach narracja zaczyna imitować a czasem nawet bezpośrednio relacjonować nie tylko treść myśli danej postaci, ale również sposób jej myślenia – urywając zdania, stosując obficie wielokropki oraz przekleństwa w funkcji wykrzyknień. Nie ma w tym żadnego porządku – jest za to zamieszanie, ponieważ niektóre elementy świata odbierane są inaczej przez Tomka, inaczej przez Karolinę (co jest wynikiem ich narkotycznych przewidywań), przez co wprowadzają chaos w pozornie obiektywnej narracji.

Powieść Artura Urbanowicza wymierzona jest we współczesnych pogan (czy też neopogan). Można w tym miejscu kontrargumentować, że w pewnym możliwym odczytaniu ich wiara zostaje przecież ukazana jako zasadna i tak dalej, ale nie o kwestie interpretacji elementów nadprzyrodzonych chodzi. Neopoganie na łamach *Gałęziste* ukazani są jako zacofana (cywilizacyjnie i technologicznie) grupa, pozbawiona (definiowanej chrześcijańsko) moralności, mordercza i okrutna. Zestawia się ją zarówno z nazistami (s. 383) jak i dżihadystami (s. 434). Od nich pochodzi praktycznie całe zło, jakiego doświadczają uczestnicy feralnej wycieczki. W kontekście poczynionej (tym razem w posłowniu) deklaracji autora o jego chrześcijańskim światopoglądzie, ten krzywdzący sposób przedstawiania nie wydaje się przypadkowy.

*Gałęziste*, wydane przez wydawnictwo Novae Res, jest jedyną książką nominowaną do tegorocznej edycji nagrody, która ukazała się w formie tak zwanego *vanity publishing*, czyli publikacji opłaconych przez autora. Ukazuje przy tym zasadnicze problemy tego typu drogi wydawniczej, ponieważ w tej formie *Gałęziste* nie powinno się ukazać. Powieść Urbanowicza powinna zostać zredagowana, odchudzona, wygładzona stylistycznie – i wtedy miałyby szanse wywołać i utrzymać zainteresowanie czytelnika. Jednak w sytuacji, w której wydawnictwo przedkłada ilość nad jakość, a literacki aspekt leży jedynie po stronie autora, dostajemy „wersję beta” podawaną jako finalne dzieło.

## Recenzja II

Powieść Urbanowicza zawiera motywy doskonale znane miłośnikom literatury i filmu grozy - para młodych w dziwnej sytuacji, wioska na odludziu, o której nikt nie słyszał, dziwne rytuały, jak pogrzeb na pradawnym cmentarzysku, niepokojące zdarzenia, które jednak można wyjaśnić racjonalnie (do czasu) itd., itp. Jednak to dopiero klocki, z których powstanie układanka. I to układanka wcale udana (choć niepozbawiona drobnych wad).

Przede wszystkim mamy tu umiejętnie manipulowanie czytelnikiem i sterowanie odbiorem oraz wynikające stąd kolejne zaskoczenia. To, co początkowo może wydawać się dziwaczne, choć niekoniecznie musi wykraczać poza prawa empirycznej rzeczywistości, w drugiej części powieści otrzymuje nadprzyrodzone wyjaśnienie. Banał, wydawać by się mogło, choć przedstawienie perypetii Karoliny i Tomka osaczonych przez wrogą naturę - świetne i wciągające. W dodatku uwiarygodnione pozornie niepotrzebnym wątkiem Anny, której udziałem są takie same przeżycia. Ale już zanegowanie nadprzyrodzonych przyczyn zdarzeń jest prawdziwym zaskoczeniem - tym większym, że czytelnik może „zapomnieć”, że narracja prowadzona jest nie przez narratora wszechwiedzącego, ale z ograniczonej perspektywy bohaterów utworu (mimo wcześniejszych sygnałów, że coś jest nie tak z niby-obiektywnym oględem rzeczywistości przez protagonistów - nie zawsze to, co widzą jest tym, co dzieje się naprawdę). I kolejne zaskoczenie - gdy po jakże obszernych i przekonujących wyjaśnieniach, dotyczących narkotyku, pod wpływem którego byli Anna, Tomek i Karolina, i pozornym powrocie do normalności (gdzie Jaćwingowie jawią się jako rodzaj sekty) następuje scena z topielicą wypełzającą z jeziora, później zaś okazuje się, że Tomek cudownie odzyskał zdrowie. Nawiasem mówiąc, związek przyczynowo-skutkowy między miłosnymi igraszkami Natalii i Tomka a ozdrowieniem tego ostatniego jest raczej kwestią wiary, a nie wiedzy Tomka - faktem jest tylko to, że choroba się cofnęła, ale co było w istocie tego przyczyną...? W końcu pierwszy atak hipoglikemii miał miejsce zanim para dotarła do wioski. Wszystko to buduje obraz świata, w którym daleko do pewności ontologicznej i epistemologicznej, w którym kolejne wyjaśnienia mogą okazać się pozorne.

Podobne zaskoczenia pojawiają się także w mniejszych odcinkach tekstu - szczególnie w zakończeniu, gdzie czytelnik dowiaduje się, że Tomek jedzie ze swoją świeżo poślubioną żoną (oczywiście jest to Karolina), przedtem zaś nawrócił się na prawdziwą wiarę (oczywiście na chrześcijaństwo) - to, co oczywiste wcale oczywiste nie jest. Narrator nie kłamie, ale też nie dopowiada, pozostawiając odbiorcy wyciąganie (fałszywych) wniosków. Niczym rodem z powieści detektywistycznej jest kierowanie podejrzeń na pana Andrzeja - nie chodzi tu jedynie o jego niewytłumaczalne (początkowo) zachowanie, gdy młodzi nocują u niego, a Tomek dostaje ataku hipoglikemii, ale także o słowa jednego z Jaćwingów o tym, że „nasz człowiek” zaprzyjaźnił się z młodymi - nie ma żadnych wątpliwości, że „nasz człowiek” to pan Andrzej, który też może zostać utożsamiony przez bystrego czytelnika z mężczyzną na początku powieści obserwującym nadjeżdżających Karolinę i Tomka. Tyle że „nasz człowiek” to - jak się okaże - ktoś zupełnie inny, w dodatku postać, o której łatwo zapomnieć (jak pisała już Agatha Christie, kto zwraca uwagę na postaci takie, jak kelner czy służący?).

Dwójka głównych bohaterów tworzy nieco zbyt idealny kontrast. Chociaż postać Karoliny jest miejscami niezłe poprowadzona: z jednej strony jest wierząca i praktykująca a z drugiej strony przez brak asertywności ląduje na balandze zamiast na wielkopiątkowym nabożeństwie („Przepraszam Panie Boże, ale kumpela zaprosiła mnie na imprezkę, no i nie umiałam odmówić. Rozumiesz mnie, prawdaaa?”). Można powiedzieć, że zapowiada to przemianę, jaka dokona się w empiryście i ateście Tomku - ani chrześcijaństwo ani ateizm nie są tu nadmiernie głębokie.

Powieść jest nieco zbyt przegadana w partiach początkowych. Czy istotnie potrzebne są wszystkie retrospekcje i czy wszystkie wnoszą cokolwiek do głównego wątku? Fragmenty poświęcone urokom Suwalszczyzny, choć interesujące same w sobie, także niewiele dodają do wątku głównego, nadto niektóre fragmenty pisane są stylem „przewodnikowym”, niezbyt pasującym do reszty narracji. Język bohaterów (i narratora, gdy mówi głosem postaci) jest miejscami rozpaczliwie ubogi i monotonna. Zgoda, że język młodych ludzi bywa niewyrafinowany (nawet tych z wyższym wykształceniem), ale stężenie i mo-

notonia zwrotów typu „kurwa”, „ja pierdolę”, „ja jebię” przyprawia o ból zębów. I czy nie można było jakoś zróżnicować mowy Karoliny i Tomka? Tym bardziej, że Karolinie imponuje pan Andrzej ze swoją polszczyzną, a więc czy sama nie powinna wyrażać się lepiej?

Skoro mowa o języku - drobiazg dotyczący angielskich dialogów. Pisze się „Polish vodka”, nie „polish vodka” (24). W języku angielskim przymiotniki odnoszące się do narodowości wciąż jeszcze pisane są z wielkiej litery (w dodatku „polish” w kontekście napojów wysokowych dziwnie kojarzy się z politurą).

### Recenzja III

Powieść Artura Urbanowicza *Gałęziste* jest próbą realizacji konwencji literackiej, która w tradycji anglosaskiej nosi miano *folk horror* (by wspomnieć choćby utwory Alana Garnera). Niestety, jakkolwiek sam pomysł opowieści mógłby się zapewne z powodzeniem obronić w formie noweli czy opowiadania, jego ostateczny kształt literacki nie jest zbyt satysfakcjonujący. Swoje wątpliwości postaram się sformułować w trzech punktach: Po pierwsze – kompozycja. Trudno jest napisać obszerną, kilkusetstronicową powieść w formie jednowątkowej noweli. Widać to wyraźnie w *Gałęzistym*, gdzie para bohaterów oraz ich protagoniści i antagoniści – dość mozolnie przemieszczają się od wydarzenia do wydarzenia, zaś w przerwach między nimi świat przedstawiony zdaje się zastygać, gdyż nie ożywiają go działania i przeciwdziałania żadnych innych postaci. Na dodatek bohaterowie powieści, nawet jak na standardy powieści grozy, są stereotypowi do bólu zębów, ubrani w cechy przerażająco przewidywalne (co mogłoby być źródłem zupełnie odrębnej grozy czytelnika): np. bohater-ateista jest rozwiązły i nadużywa alkoholu, bohaterka-katoliczka to wstrzeźliwa abstynentka etc. Po drugie – koloryt lokalny. To, co mogłoby być atutem powieści działa, niestety, na jej szkodę. Dzieje się tak za sprawą przyjętej konwencji narracyjnej, którą chętnie określiłbym mianem „Pan Samochodzik i niesamowita Suwalszczyzna”. Oto bowiem w narracji, między zdarzeniami, umieszczone zostają obszerne – referowane wprost przez narratora, passusy poświęcone mitologii słowiańskiej, folklorowi Suwalszczyzny itd. Przypomina to jako żywo niezwykle męczące wtręty narratora o dziejach masonerii lub zakonu templariuszy znane z powieści Zbigniewa Nienackiego. To, co w powieściach adresowanych do młodzieżowego odbiorcy dawało się od biedy uzasadnić funkcją poznawczą dzieła, w utworze grozy masakruje niezbędne napięcie i dramatyzm akcji. Po trzecie – racjonalizacja. Od zawsze pięta achillesowa każdej opowieści grozy – jak bowiem uzasadnić (czytelnikowi i bohaterom) nagłą i „niespodziewaną” przemianę np. pięknej bohaterki w szpetną ośmiornicę? A jednak obszerne dialogi bohaterów na tematy teologiczne i okołoreligijne nie tylko wyglądają jak ubogie wersje sporów ze znanej książki Dawkinsa (któ-



rej tytuł pada w powieści), ale także – patrz punkt 2. – niweczą wysiłki mające na celu zbudowanie dramatycznej fabuły z nieoczekiwanymi zwrotami akcji. Mówiąc najprościej językiem tradycyjnej poetyki – to po prostu nie jest powieść lecz (stanowczo) zbyt długie opowiadanie.

## Recenzja IV

Ta książka powinna mieć inny tytuł – ale o tym za chwilę.

Wracając z cmentarza, gdzie była na grobie ojca, pani ordynator oddziału onkologicznego, Anna Żukowska, postanawia skrócić sobie drogę do domu rodzinnego, jadąc skrótem przez las. Po jakimś czasie samochód odmawia posłuszeństwa, kobieta decyduje się więc pójść pieszo, żeby szybciej dotrzeć do chorej matki. Droga jednak wydaje się nie mieć końca...

Para młodych ludzi postanawia spędzić Triduum Paschalne i Wielkanoc w gospodarstwie agroturystycznym w pobliżu Suwałk. Kilkundniowy wyjazd ma im pomóc w naprawie rozpadającego się związku. Podczas drogi słyszą komunikaty o zaginionej Żukowskiej. Na miejscu okazuje się, że muszą skorzystać z innego lokum. Teoretycznie jest to zwykły dom, jednak wkrótce zaczyna się dziać w nim coś dziwnego.

Mamy tu po raz kolejny – to dość częsty ostatnio przypadek – nawiązanie do „mitologii” ludów zamieszkujących tereny obecnej Polski, w tym wypadku – Jaćwingów. Pomysł mógłby być niezły, gdyby nie wykonanie. Zacznę od tego, co jest widoczne na pierwszy rzut oka, czyli od języka: wulgarnego, niechlujnego, nieporadnego. Dalej: fabuła – dziurawa, w wielu miejscach wyraźnie „klejona na siłę”. I wreszcie postaci: papierowe, a przy tym tak przerysowane, że aż groteskowe, w złym znaczeniu tego słowa. Ta książka powinna nosić tytuł *Święta Karolina, niewierny Tomasz i rozpustna poganka*. Karolina, dziewczyna Tomasza, reprezentuje bowiem wszelkie możliwe cnoty – teologiczne, kardynalne – z cnotą czystości włącznie. Cierpliwie trwa przy niewiernym (także w dosłownym znaczeniu tego słowa, jeśli chodzi o kontakty damsko-męskie) Tomaszu, wielokrotnie ratując mu życie (chłopak jest cukrzykiem), znosząc jego występki, napady wściekłości i zgadzając się na złe traktowanie. Jej chłopak jest bowiem krańcowym egoistą, wcieleniem chyba wszelkich cech negatywnych oraz – w przeciwieństwie do głęboko wierzącej Karoliny – ateistą. Dziewczyna ma jednak nadzieję, że Tomasz się zmieni, a ona w końcu zostanie jego żoną. Na drodze do szczęścia pary staje urodziwa rozpustnica z Suwalszczyzny – jak się okazuje, wyznawczyni pogańskiego kultu,

która uwodzi Tomasza (bo jest niewierzący) i przymierza się do złożenia ofiary z Karoliny (bo jest chrześcijańską dziewicą). Słowem – stereotyp za stereotypem, z Leszym w tle: ten wątek zresztą zapowiadał się najciekawiej, ale autor sobie z nim nie poradził. Ukoronowaniem wszystkiego jest zakończenie, w którym na wypadek, gdyby czytelnik nie zrozumiał, o co chodzi z tym Tomaszem, zostaje przytoczony odpowiedni fragment z Pisma św.; opisano również przyczyny, dla których niewierny Tomasz stał się Tomaszem wierzącym. W tej sytuacji kuriozalny motyw zbrodni nie może być już żadnym zaskoczeniem dla znękanego czytelnika.

Mogło być ciekawie. Niestety – tylko mogło.

## Recenzja V

Wśród nominowanych do Nagrody im. Grabińskiego tytułów bardzo pozytywnie wyróżnia się powieść pod tytułem *Gałęziste* autorstwa Artura Urbanowicza. Jest to rzecz napisana z niezwykle starannością, interesująco skonstruowana, z intrygującym pomysłem fabularnym i bardzo fortunnie rozpisanymi postaciami. Utwór jest dopracowany, przemyślany, widać po nim ogromny potencjał pisarski, jaki bez wątplenia przejawia Urbanowicz. Autor ma bardzo dobry pomysł na to, jak powinna wyglądać fascynująca powieść grozy i z dużą wprawą porusza się w tej konwencji, łącząc ze sobą elementy najklasycystniejsze. *Gałęzistemu* brakuje jakiegoś ostatecznego szlif i wyrazistszych rozwiązań fabularnych, ale jest to lektura frapująca, cechująca się niebywale potoczystą narracją. Jest to ten składnik, który determinuje immersję, sprawiając, że te słabsze detale czy wątki nie rażą.

Tym, co zwraca uwagę przede wszystkim, jest niezwykle konsekwencja w budowaniu postaci, ich wzajemnych relacji – co jest tym istotniejsze, że fabuła w zasadzie na tych interakcjach się opiera, bo *Gałęziste* jest w dużym stopniu po prostu narracją o związku mężczyzny z kobietą, o zasadach, jakim podporządkowane są wybory miłosne czy – dosadniej – życiowe. Autor z ogromnym wyczuciem, unikając zbędnego przerysowania, kreśli portrety głównych bohaterów, pokazuje mechanizmy rządzące ich związkiem – z jednej strony tak oczywiste, a z drugiej niełatwe do wiarygodnego zaprezentowania. To ostatnie jest zresztą siłą tej powieści, w której psychologiczny autentyzm staje się osnową fabularną. Bez tego autentyzmu nie byłoby możliwe uruchomienie bodźców lękotwórczych, będących w pewnym sensie przeciwwagą dla zwyczajności, jaka cechuje relację dwójki bohaterów. Bez tej – realizowanej z niebywałą intensywnością – introspekcji w wewnętrzne rozterki postaci ulotniłaby się ogromna moc efektownego (choć można też rzec, że w niektórych wymiarach efekciarskiego) finału. Ten oczywiście nie jest perfekcyjny, bo skonstruowany z pewną niedbałością iomalże ocierający się o kicz, ale to potknięcie powieści – jako całości – w żadnym razie nie szkodzi.

Jednym z tych elementów, które nie przekonują do utworu Urbanowicza, jest niepotrzebne (a dziwnie modne ostatnimi czasy) zestawie-

nie motywów pogańskich z chrześcijańskimi i nadmierne epatowanie polskim literackim towarem eksportowym, jakim najwyraźniej staje się w literaturze grozy dewocyjna wiara. To nadmierne oddanie wierze w jakiś sposób odczłowiecza główną bohaterkę, stanowiąc jednocześnie dość niesubtelny sposób na uzasadnienie konfliktu, jaki zachodzi ostatecznie między gorliwą katoliczką a jej unikającym obrzędów religijnych partnerem. Owszem, przekłada się to na jakość finałowych wydarzeń, ale też je nieco przerysowuje, dodając niepotrzebnego już w tym miejscu melodramatyzmu.

Na uwagę zasługuje z pewnością umiejętne budowanie atmosfery zagrożenia, bardzo świadome użycie – kliszowych wprawdzie, ale wciąż doskonale się sprawdzających – chwytów charakterystycznych dla fantastyki grozy. Autor z wprawą kumuluje sytuacje fabularne, które stopniowo konstruują poczucie zagrożenia i niepewności. Nagromadzenie zdarzeń i przypadków przytrafiających się parze bohaterów nie jest w żaden sposób uciążliwe, a raczej przyczynia się do uwiarygodnienia się determinant kierujących decyzjami postaci. Choć Urbanowicz ma dużą świadomość metod funkcjonowania pewnych mechanizmów grozy, to nie zawsze wiedzę tę wykorzystuje w pełni. Bez wątplenia powieść napisana jest bardzo poprawnie, jej intryga może być dla odbiorcy atrakcyjna, ale to właśnie sfera związana z grozą wydaje się niedopracowana, jakby nie do końca dobrze przemyślana. *Gałęziste* charakteryzuje swoista prostota, brak wnikliwości, które sprawiają, że nie jest to powieść znakomita. Jest to powieść poprawna, powieść autora, który ma potencjał, ale musi rozwinąć warsztat, popracować nad konceptami.